

Express  
22.V.65  
dubel

Z piątku na niedzielę

Jan Brzechwa

# Blaski i cienie rampy

**B**YLEM na przedstawieniu sztuki Albeego „Kto się boi Virginii Woolf”, w Teatrze Współczesnym. Wyszedłem z uczuciem głębokiego podziwu dla niezrównanego mistrzostwa gry aktorskiej. Antonina Gordon-Górecka, której jestem gorącym wielbicielem, tym razem przeszła wprost samą siebie. Rolę Jana Kreczmara można chyba zaliczyć do jego szczytowych osiągnięć. Oczywiście — szczytowych jak dotąd, gdyż każdy artysta kryje w sobie możliwości nieograniczone. Tak, to był koncert gry, a gdyby chcieć przetłumaczyć ten obiegowy zwrot na język pojęć muzycznych, nasuwałaby się myśl o wirtuozerii na miarę Rubinsteina.

Sztuka Albeego grana była w wielu krajach, ale gotów jestem zażytkować przekonanie, że nie grano jej nigdzie lepiej niż w Warszawie.

Nie próbuję, broń Boże, pisać recenzji. Nie odważyłbym się wdziierać w rewiry podległe milej Karolinie Beyłn, która uczyniła to już w sposób jak najbardziej kompetentny.

Zafrapowała mnie inna strona zagadnienia, nad którą warto się zastanowić i zwrócić na nią szczególną uwagę. Mam na myśli problem pracy aktora, pracy niezwykle trudnej, o specyfice ogromnie złożonej. W omawianej sztuce wypukliły się cechy tej pracy w sposób wyjątkowo uchwytny i widoczny.

Są zawody, które wymagają od ludzi bardzo dużego wysiłku, zawody ciężkie, jak — powiedzmy — górnictwo, czy hutnictwo. Tam wyniki są jednak wymierne, określa się je w tonach węgla i stali. A jaka jest miara trudu artysty?

Majakowski niegdyś pisał:

„Poezja —  
to tak samo jak rad.  
Dla wydobycia gramu —  
wieloletnie trudy.

Dla jednego słowa  
zmarujesz, rad,  
tysiące ton

— i językowej rudy”.

Podobnie wygląda praca aktora. Abstrahując od sprawy talentu, wymaga ona napięcia wszystkich sił duchowych — nerwów, uwagi, pamięci. Samo opanowanie tekstu, aby dialog mógł toczyć się od początku do końca spektaklu z nie słabnącą swobodą i błyskotliwością tak, jak prowadzą go Gordon-Górecka i Kreczmar, zmusza do pracy, o jakiej widz nie ma wyobrażenia.

Przychodzimy do teatru w poszukiwaniu intelektualnej rozrywki, wrażeń estetycznych, artystycznego przeżycia, dla aktora zaś jest to przede wszystkim warsztat codziennej, uporczywej, wyteżonej pracy.

Dopiero po zakończonym przedstawieniu uważne oko potrafi dostrzec fizyczne i nerwowe wyczerpanie aktorów.

Wśród wielu jeszcze ludzi utrzymuje się męt, że życie aktora jest lekkie i barwne jak confetti, że składa się ono z blasków uciech.

Nie ma nic bardziej błędnego, niż takie mniemanie. Widz ogląda tylko musującą piankę na powierzchni aktorskiego sukcesu. Cienie i porażki, zawody i gorycze ukryte są za kulisami teatru, za kulisami serc.

Przygotowanie roli, to nieraz miesiące nieustających prób i wysiłków. Zdobywanie artystycznej pozycji — to nieraz długie lata zmagania i wytrwałej pracowitości.

Trzeba, aby o tym wiedzieli ci wszyscy, którzy zazdroszczą aktorom łatwego życia i ci, którym marzą się światła rampy.

Melpomena dla swoich adeptów ma więcej cierni aniżeli laurów.

P.S. Po felietonie na temat spraw nekających ludzi starych dostałem dużo listów od Czytelników z prośbą o interwencję i pomoc. Muszę więc wyjaśnić raz jeszcze, że wszelkie moje możliwości kończą się na ostrzu pióra, gdyż jestem zaledwie literatem i tylko skromna rola przypadła mi w udziale. Nie podejmuję się też oceny cudzych utworów, albowiem nie czuję się do tego powołany. Mam nadzieję, że te niedostatki i ułomności będą mi przez Czytelników wybaczone.